Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 13 Czérwca Nᴇʀ 9. 1838 Roku.

ART PIĄTY.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

PRZEZ J. K.

(DOKOŃCZENIE.)

SCENA IV.

(*Miészkanie Wacława.*)

Eliza (*sama.*)

Już siódma; — miasto budzić się zaczyna po śnie i odpoczynku do trosk i pracy. — Ja tylko nié mogłam snu przywołać. — Wraz z pokojem duszy, z czystością myśli, zniknął, uleciał. — I robota nie idzie; — rwie się nitka, igła błąka się jak w ręku pięcioletniéj dziewczynki: (*odchodzi od okna i rzuca robotę;*) gdzież Wacław? Zaledwie odprowadził mię do drzwi, odszedł nie ścisnąwszy za rękę, nie rzekłszy słowa. — Czy mi się marzyło, że go Henryk przyzywał? — dawniéj, gdyśmy z jakiéj zabawy wracali, z takiém upodobaniem opisywał mój ubior, moje powodzenie, mój taniec. — Bo dawniéj śledził mię okiem miłości; dziś, ah! dziś ja na nię nie zasługuję. — Mogąż te uczucia szacunku i przyjaźni, jakie jeszcze w sercu mojém dla niego zostały, zastąpić miejsce miłości, jakiéj mu potrzeba, i do jakiéj ma prawo? — Boże! zmiłuj się nademną. — Tu powinność, tam niepojęty powab ciągnie moje myśli. — Ale już się stało. — Dzięki Ci Boże, żem się zdobyła na tyle siły! — zerwany ten łańcuch kwiecisty, rozdarta czarująca zasłona, przez którą grzéch i występek nabywały powabu niewinności. — Obaczyłam ich szkaradne oblicze i odwróciłam oczy — na wieki. O! przychodź Wacławie! przychodź mój mężu! odbierz ślub powtórny przywiązania i wiary od żony nawróconéj, — (*słucha*) — idzie, dawno z taką radością nie witałam przybywającego. — Dawne wrażenia wracają, może i dawniéjszy pokój zawita pod ten dach cichy, i dawniéjsze szczęście progi te przestąpi: — To nie on!

(*Doktor wchodzi, siada zmordowany.*)

Eliza.

Dzień dobry ci, kochany

doktorze; czemużeś tak zmęczony?

DOKTOR.

Już dwa razy byłem podedrzwiami waszémi; jeszcze nie wrócił?

ELIZA.

Wacław?

DOKTOR.

O kogoż mógłbym się pytać?

ELIZA (*schylając oczy.*)

— Odprowadził mię do domu, sam odszedł nie wiém dokąd.

DOKTOR.

I tak cierpliwie go czekasz?

ELIZA.

Mamże przyczynę bydź niespokojną?

DOKTOR.

Maszże prawo bydź spokojną? — wiészże ile jedna chwila może zasiać niedoli?

ELIZA.

Przestraszasz mię; wiedziałżebyś co?

DOKTOR.

Możeszże powiedziéć, że nic nie wiész?

ELIZA.

Tak jest, w rzeczy saméj, zdaje mi się, żem słyszała, wtenczas, gdy mi się słabo zrobiło, tam, gdyś był przy mnie, że go Hrabia wzywał do siebie.

DOKTOR.

Otoż to są skutki igrania z obowiązkami, których surowa świętość powinna wrażać uszanowanie. — Życie, moja Pani, jestto świątynia, w któréj bóztwo zawsze obecne nie ciérpi obrazy.— Twój mąż nie wraca, i każda sekunda wydaje mi się coraz dłuższą, coraz nieznośniéjszą.

ELIZA (*porywa na siebie chustkę.*)

Bądź zdrów doktorze.

DOKTOR.

Dokąd?

ELIZA.

Pytasz mię? — Okrutni! Także to wam łatwo rozedrzéć serce kobiéty!

DOKTOR.

Co zamyślasz?

ELIZA.

Rzucić się między ich oręże, przez te piersi niech ich żelazo przechodzi, nim serce któregokolwiek z nich dosięgnie: — puszczaj mię!

DOKTOR.

Stój! — tam go niéma — był, ale już go niéma, powiadam ci.

ELIZA.

A gdzie on? (*Wacław wchodzi.*) Jesteś Wacławie?

(*Wacław odpycha ją zlekka od siebie i odwraca się.*)

ELIZA (*odstępuje.*)

Biada mi!

DOKTOR (*odprowadza go na stronę.*)

Miałżebyś się dopuścić jakiéj zbrodni.

WACŁAW.

Elizo!

ELIZA (*przystępując nieśmiało.*) Mężu!

WACŁAW.

Idź pożegnaj dzieci, — za chwilę wyjeżdżamy.

ELIZA.

Dokąd?

WACŁAW.

Idź pożegnaj dzieci, — a zostaw nas. (*Eliza wychodzi płacząc.*)

DOKTOR.

Szaleńcze! wartbyś, abym cię samemu sobie zostawił!

WACŁAW.

Właśnie też sam sobie radzić zamyślam.

DOKTOR.

Żołniérz nosi przy boku oręż na obronę kraju, przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi; użyć go, wtenczas tylko ma prawo, gdy go powinność upoważnia. — Ale sztylet lub truciznę, czy na siebie, czy na drugich, nosi tylko przy sobie, — zabójca.

WACŁAW.

Więc już wiész, żem twoję szafę zbadał. — Była to myśl przelotna, dzika, — jak uczucia, które mną wtenczas miotały. — Przyjacielu mój! — dawny, jedyny, ty mię znasz i pojmujesz, że człowiek taki jak ja, nie mógł wówczas nie wpaśdź na jakieś przedsięwzięcie, pełne rospaczy. — Zamknięty w sobie, — od półroku więcéj żując i trawiąc gorycz, wśród przymusu wyrzutów i poniżenia pędząc godziny walk i niepokoju, wczoraj stanąłem u kresu. — Postrzegłem, że pierś moja wezbrana, że boleść musi z brzegów swych wylać, lub ją rozerwać. — W takiéj to chwili uzbroiłem się orężem, jak ty mówisz, zbójeckim. — Chociaż, — daruj, ja to uważam za lékarstwo, — wszak i wy go używacie. — Różnica tylko w ilości: — na chorobę ciała kilka gran mniéj, na chorobę duszy kilka gran więcéj.

DOKTOR.

Szalony!

WACŁAW.

Rzeczywiście, wówczas byłem blizkim szaleństwa; — ale uspokój się, mój dobroczyńco! już to przeszło: — przekonałem się, że jeszcze ratować się mogę, i postanowiłem chwycić się środka, o którym mi kiedyś zdaleka napomykałeś. — O! porzucam to miasto, — oddalam się, — uciekam stąd; — dokąd? — nie wiém. — Ale jak najdaléj od zgubnych pojęt, które usidłają jéj cnotę.

DOKTOR.

Dzięki niebu! to była myśl moja: — spodziéwam się, że ona

wzbraniać się nie będzie. — Wreszcie znajdą się na to sposoby.

WACŁAW.

Nie będzie; — o tém nie wątpię; — ale dzieci z sobą wziąść nié mogę. — Podróż moja musi bydź szybka, tajemna, ty jeden tylko będziesz wiedział dokąd się udam i w jakim kącie ziemi wstyd mój zagrzebię. — Potrzeba mi na to całéj przytomności umysłu i twojéj pomocy, abym się dobrze ukrył przed czujną policyą kochanka, który ma wytrwałość i pieniądze.

DOKTOR.

Dobrze mówisz: — dobrze pomyślano!

WACŁAW.

Cóż dziwnego, zazdrość bieglejszą jest jeszcze od miłości; — idzie tu o mój honor. — O szczęściu już nie mówię: — to nie dla mnie! — Ale gdy rozbicie nieuchronne, rozsądek na tém, aby ratować, co się jeszcze ratować daje, aby nie stracić wszystkiego, chcąc ocalić wszystko. — O! cobym dał za to, gdybym mógł odzyskać te chwile słodkie, kiedy wracającego po pracy do domu, witała uśmiéchem radości, przywodziła dowcipne dzieci swych słówka, pozwoliła położyć głowę na swych kolanach i tak odetchnąć, usnąć. — (*Kładzie rękę na czole.*) Był to sen, sny należą także do osnowy życia, i za nie także dziękować niebu potrzeba. — Teraz inne starania, przyjacielu, na tobie teraz wszystko polega.

DOKTOR.

Trzeba ci pieniędzy: — co mam to twoje.

WACŁAW.

Dziękuję ci; nieszczęście ma tę jednę dobrą stronę, że odkrywa serca prawdziwie przychylne. — Pieniędzy mam dosyć. — Wszakże poźniéj, gdybym musiał dłużéj zostać za granicą, udam się do ciebie.

DOKTOR.

I znajdziesz rękę moję otwartą.

WACŁAW.

Ale trzeba mi paszportu, dla nas obojga tylko i pod obcém imieniem. — Mnie nazwij jak chcesz, nié mam głowy teraz sam o tém myśléć, proszę cię tylko, abyś ją zrobił moją siostrą. — Tak łatwiéj będziemy się mogli ukryć. — Związki twoje obszérne; ty jeden dokazać tego potrafisz.

DOKTOR.

Dobrze, dobrze, wyrobię.

WACŁAW.

Ale dziś, starcze! o gdybyś ty wiedział, jak to powietrze mię dusi!

DOKTOR.

Pojmuję: — będziesz miał paszport dziś jeszcze.

WACŁAW.

Teraz jeszcze jedno dobrodziéjstwo.

DOKTOR.

Mów, co? — wszystko.

WACŁAW.

Opieka mych dzieci.

DOKTOR.

Ale to się rozumié: — będą mojémi.

WACŁAW.

Oto pełnomocnictwo dla ciebie i dla tych, których ty mianować będziesz.

DOKTOR.

Na cóż ta formalność, myśliszże wcale nie wracać?

WACŁAW.

Myślę nie wracać póty, póki trwać będzie niebezpieczeństwo. — Wreszcie, cóż można powiedziéć o jutrze? każda godzina jest nową falą, która może rozbić lub życie człowieka, lub jego pokój.

DOKTOR.

Wacławie, oddaj mi, co u mnie wziąłeś.

WACŁAW.

O gdyby mi kto oddał com utracił! — pozwól starcze, niech to lékarstwo zostanié przy mnie, nie użyję go, chyba wtenczas, gdy wszelki inny środek będzie bezskutecznym, gdy życie puste, samotne, stanie się ciężarem, przewyższającym me siły: lub wtenczas: — bo na cóż ci mam ukrywać.... — któż wié, może nas znaléźć — może mi ją porwać — uwiéźć! — wtenczas — o na BOGA! ja go znajdę.

DOKTOR.

Oddaj Wacławie!

WACŁAW.

Jeżeli pragniesz, oddam; ale patrz, oto weksel na 20,000 złł. — pokoju i szczęścia nie dostaniesz za piéniądze, ale trucizny, — wszędzie.

DOKTOR (*po chwili.*)

Wreszcie, — chociaż nie chciałbym, — ale dajesz mi słowo, że tylko w ostateczności — nie, nie i to niegodziwość.

WACŁAW.

Śpiesz starcze, — jak wrócisz, oddam ci — wyprowadzisz mię za miasto, tam ci oddam, tam bezpieczniéjszy będę, tam go niéma.

DOKTOR.

Pamiętaj; — (*wraca*) a powóz masz?

WACŁAW.

Ha, nie myślałem o tém.

DOKTOR.

Weźmiesz mój, wygodny i mocny, — weź i uciekaj, — dzieci

twych nie opuszczę; — ale będziesz pisywał często; — nieprawdaż? — czekaj, trzebaby jeszcze adres ułożyć: — to mi przyjdzie na myśl poźniéj. — Do widzenia się. (*wraca*) Wacławie, mój poczciwy Wacławie! o jakbym chciał już witać cię spokojnym, i szczęśliwym. (*odchodzi.*)

WACŁAW.

Spokojnym i szczęśliwym! Spokojnym mogę bydź wkrótce, szczęśliwym? — nie wiém. — Poczciwy starcze! On dzieci mych nie opuści. — (*Stawia dwa kubki na stole, — postępuje ku drzwiom*) Janie!

JAN (*wchodzi.*)

Co Pan każe?

WACŁAW.

Połowę tego lékarstwa wléj w którykolwiek z tych kubków, i obadwa napełnij wodą: (*oddaje flaszkę — odwraca się*) — czy już?

JAN (*spełniwszy rozkaz oddaje flaszkę*)

Już Panie.

WACŁAW (*opatruje flaszkę i chowa.*)

Za wiele miesięcy jesteś niezapłacony.

JAN.

Za dwa Panie.

WACŁAW.

Tu masz twoje zasługi: — idź teraz na pocztę i zamów mi konie.

JAN.

Czy Pan mię z sobą nie weźmie?

WACŁAW.

Zostaniesz przy dzieciach, bądź wiernym i czujnym; — idź (*służący wychodzi, Wacław zbliża się do stołu i zakrywa kubki serwetą.*) Czekam cię teraz, mój gościu: — igrałeś z mojém szczęściem, ja teraz poigram z twojém życiem, — a może i ze swojém, — mniéjsza o to. — Ten sam los, który w kolébkę twoję włożył miliony, niech kieruje ręką, która wybiérać będzie.

ELIZA (*wchodzi.*)

Sam jesteś mój mężu?

WACŁAW.

Sam, zupełnie sam.

ELIZA.

Nie śmiém się do ciebie zbliżyć.

WACŁAW.

Oddajesz sobie sprawiedliwość.

ELIZA.

Byłam winną.

WACŁAW.

Byłaś!

ELIZA.

Byłam; — to chwilowe obłąkanie — wiérz mi!

WACŁAW.

Wiara, Elizo, jest jak honor, jak życie; — raz tylko stracić ją można.

ELIZA.

Więc już niéma dla mnie nadziei.

WACŁAW.

Dla mnie niéma; — dla ciebie jest jeszcze.

ELIZA.

Bez twojego szacunku?

WACŁAW.

Może nawet bez szacunku Hrabiego, ale w jego objęciu.

ELIZA.

O! jakżem nieszczęśliwa!

WACŁAW.

A ja? — chociażbyś mogła do mnie należeć, któż mi odda szacunek twojego serca? — Zapomniałaś Elizo, że to jest najdroższy skarb, najkosztowniéjszy posąg, który żona przynosi mężowi. — Któż mi odda wiarę w twoję cnotę, kiedy dla płochego wielbiciela, co się kłaniał twoim wdziękom, rozdarłaś serce męża, który czcił twoję duszę.

ELIZA.

Nie obaczę go więcéj. — (*Hrabia wchodzi.*)

WACŁAW.

Oto jest: — nie jesteś moją.

ELIZA.

Wolę umrzéć!

WACŁAW.

Chodź, chodź Hrabio, dziękuje ci, żeś dotrzymał słowa. (*idzie do drzwi i zamyka na klucz*). — Pomówcie z sobą, ja jeszcze pójdę dzieci obaczę. (*wychodzi.*)

HRABIA.

Co on ci mówił, Elizo!

ELIZA.

Co był powinien, opuść mię, odéjdź!

HRABIA.

Masz już miészkanie w klasztorze, póki nie nastąpi rozwód.

ELIZA (*z przerażeniem.*)

Rozwód!

HRABIA.

On na wszystko zezwala.

ELIZA.

O jak mi się w głowie mięsza! (*pada na krzesło.*)

HRABIA.

Miéj litość nademną!

WACŁAW (*wchodzi szybko.*)

Okropny, rozdziérający widok! śpią, śpią tak cicho, jak gdyby aniołowie trzymali nad niémi opiekuńcze dłonie! na ich czole jasném pogoda i pokój, na ich licu kwitnącém rumiéniec zdrowia i życia, na ich ustach różowych uśmiéch niewinności. — O zwodzicielu, gotuj się, bo jeden z nas stąd nie wyjdzie.

HRABIA.

Jestem gotów, ale dla czego zmiéniasz układy?

WACŁAW.

Wiedziałżeś z kim miałeś do czynienia? więc, żem w milczeniu znosił twoje zabiegi, myślałeś, że sobie dam wydrzéć tę, która była dla mnie życiem, światłem, jedyném dobrem. — Znaleziony na ulicy, miłosierną ręką przygarnięty, nie znałem głosu ojca, uśmiéchu matki, pieszczot siostry; —

kochałem ją przywiązaniem dziecka, przyjaźnią brata, miłością kochanka i męża. - A tyś chciał, abym ci ją oddał za pieniądze? - Weźmiesz ją, ponieważ cię kocha, ale wraz z mojém życiem, - Elizo! dokonaj coś zaczęła. - W téj chwili obchodzi się razem dwa święta: - rozwód i ślub. (odkrywa kubki.) Oto uczta, badź jéj gospodynią! w jednym z tych kubków jest trucizna, - wybiéraj, niech serce twoje kieruje twą ręką: - może wybierzesz dla mnie.

ELIZA.

Zabij mię.

WACŁAW.

Nie wahaj się, to musi nastąpić: - jesteście jeszcze w moim domu, ja tu jestem panem, i żadna siła z mojéj władzy was nie wydrze.

HRABIA.

Tracisz rozum! Powiedziałem ci, żem gotów: - po co ją mięszasz do sprawy, która między nami dwoma skończyć się powinna. Chcesz? - zgoda: - wybiéraj broń.

WACŁAW.

To moja broń (wskazuje na kubki.)

HRABIA (chwyta jeden i pije - Eliza wydaje krzyk, wyciąga rękę, chce zatrzymać rękę Wacława, traci siły i pada na kolana.)

WACŁAW.

Teraz na mnie kolej. (wypija.)

(Hrabia i Wacław patrzą długo na siebie w milczeniu, Eliza modli się i niekiedy z przerażeniem na jednego i drugiego pogląda.)

HRABIA (poważnie.)

Chciałeś, stało się: - któremuż z nas śmierć przeznaczona?

WACŁAW.

Nie wiém.

HRABIA.

Podaj mi rękę Wacławie - Zbiegliśmy się w jednem uczuciu, nie rozstawajmy się jak nieprzyjaciele: - jeżelim ja śmierć połknął, niech twoja nienawiść nie towarzyszy mi za grobem.

WACŁAW.

Jeżeli ja umrę, pragnę ponieść do grobu twój szacunek - Oto twój zapis (rozdziéra go.) Nie chcę, abyś myślał, żem był w stanie przedać honor żony; żem mógł pragnąć, aby dzieci moje były bogatémi hańbą swéj matki. - Przebacz mi, ona warta, aby ta chwila była dla jednego z nas ostatnią.

HRABIA.

Daj mi pióra i papiéru Wacławie: - los dał mi czém rozporządzać.

WACŁAW.

Będziesz miał dość czasu - Ja to podobno idę przed sąd tego, co widział moję boleść. - Oh! (pada na krzesło.)

ELIZA (zrywa się.)

Wacławie, Wacławie, coś ty uczynił?

WACŁAW.

Elizo! o jakże ciężko rozstawać się z tobą: - maszże ty odwagę? - tu jest jeszcze (podaje truciznę.) (Eliza porywa ją i wypija.)

HRABIA (chciał ją wstrzymać z rozpaczą.)

Zapoźno!

ELIZA.

Dziękuję ci Wacławie, żeś uwierzył w mą cnotę.

HRABIA (ponuro.)

Do tegoż więc przyszło! i ja jestem waszym zabójcą. - O przeklęta godzino!

WACŁAW [przyciska jéj rękę do piersi.]

Bądź zdrów Hrabio; nie sprawiłeś tyle złego, ilem rozumiał. [kona.]

ELIZA.

Skończyłeś! - pokój twojéj duszy! - wkrótce pojdę za tobą - żona dopełniła swéj powinności; teraz koléj na matkę. - Henryku! nie patrz tak okropnie. - Także to straszne dzieło, aby tobie, mężczyźnie, odbiérało odwagę, gdy tyle powinności przed tobą? - Henryku! kochałam cię! w téj uroczystéj chwili ci to wyznaję: - oto moja ręka Henryku! [całuje go.] - To uściśnienienie twéj żony; a tam, twoje dzieci! [pada na kolana przy zwłokach męża.]

HRABIA.

Tam moje dzieci!

BRZOZA I ŹRÓDŁO.

Brzózko w zielonym zawoju,
Co tam w twoim gra warkoczu?
Źwierciadlany, czysty zdroju,
Co tam patrzy z twoich oczu?
  Myślałem, o drzewko, krasne!
  Że to brzęczy, głos miłego.
  Myślałem, o źródło, jasne!
  Że to błyszczy oko jego.
Brzózko w zielonym zawoju,
Wiater gra ci po warkoczu;
Źwierciadlany, czysty zdroju,
Gwiazda patrzy z twoich oczu.
  Nie! to on, to on, daleko!
  Spomniał sobie że tu miła,
  I swoje oczy, tą rzéką,
  Serce, wiatrem tym przysyła.
Brzózko w zielonym zawoju,
Trzymaj wietrzyk ten w warkoczu;
Źwierciadlany, czysty zdroju,
Nie wypędzaj gwiazdy z oczu,
  Bo co noc wiernie i skrycie
  Biédna przyjdzie tu dziewczyna,
  I spyta, a wy powiécie:
  Żyje, żyje, i spomina.

W KRAKOWIE, CZIONKAMI JÓZEFA CZECHA.